

Historia pewnych butów (recenzja)

„Chleby upieką się w piecach nam i spojrz: tam, gdzie tylko był dym, kwiatem zablizni się wojny ślad – barwą róż. Dzieci urodzą się nowe nam i spojrz: będą śmiać się, że my znów wspominamy ten podły czas – porę burz”.

Agnieszka Osiecka

Film zaczyna się od powrotu do raju dzieciństwa, czyli znanych nam z poprzednich filmów Kolskiego Popielaw. W świat wprowadza nas sam reżyser, używając z offu swojego nieco odmłodzonego głosu i projekcji z taśmy 16 mm. Cudne wiejskie krajobrazy i mityczne postaci Babci i Dziadka krzyżują się z uderzającą realnością – w rodzinie rodzi się nowe dziecko i nie we Wrocławiu, gdzie przyszło na świat i mieszkają jego rodzice, ale właśnie w Popielawach będzie się wychowywać. Brzdąc z głową przepełnioną wojennymi historiami rodziny, częściowo opowiedzianymi, a częściowo tylko przeczuwanymi, kiedyś wysnuje z nich nie lada opowieść. Póki co, według Dziadka, Jakuba Szewczyka, mały Janek nie nadaje się do niczego – ani do pracy rymarza, ani na wojnę, bo słabo mu idzie nauka fechtunku.

Skąd obsesja wojny i przeświadczenie, że jej ponowne nadejście jest nieuchronne, łatwo sobie wyobrazić, gdy przenosimy się do roku 1946. W lasach wciąż kryją się nie chcący się poddać żołnierze AK, ścigają ich przedstawiciele nowego porządku z radzieckim „znakiem jakości”, a pomiędzy nimi płacze się kompletnie wyczerpany jeniec-zbieg Jurgen. Ofiarą powojennych zmagania o to, jaka ma być Polska, pada wuj reżysera – Waław Szewczyk, pseudonim Odrowąż, zabity przez dawnego kolegę z lasu, który poszedł na współpracę UB. Wyjątkowego tragizmu dodaje tej historii fakt, że stało się to za sprawą ojca Odrowąza, czyli Jakuba Szewczyka. I tu zaczyna się też opowieść o butach oficerkach – podarowanych, bezczeszczonej, odbieranych, zakładanych na ostatnią drogę i brutalnie kradzionych z nóg zmarłego bohatera. Niesamowite jest to, jak historia Polski odbija się w losach konkretnej rodziny poprzez jeden detal, szczególnie, mówiący więcej niż tysiąc słów. Wyglansowane oficerki są takim detalem. A jednocześnie bezcennym dobrem, przypominającym, jak trudno było po wojnie o podstawowe rzeczy.

W najlepszych ubraniach i najlepszych butach, z jedynym, oczywiście białym, koniem Babcia Hania i Dziadek Jakub ruszają w dramatyczną podróż – chcą pochować godnie syna, w „spokojnej” ziemi, gdzie już nikt go nie odkopie, jak kilkakrotnie uczyniło to UB, by upewnić się, że jej największy wróg nie żyje. Absurdalna podróż pociągami z koniem, wozem i trumną w tak zwariowanym i niepewnym świecie nabiera znaczenia. Jest walką o godność, próbą przepracowania żałoby, manifestacją wolności, nawet za cenę ryzyka, bo w dzikim kraju na leśnym dukcie wszystko się może zdarzyć. Można znaleźć schronienie i kawałek chleba, ktoś może nam przystawić pistolet do skroni, można znaleźć przyjaciela, który okaże się wrogiem bądź odwrotnie. Może się zdarzyć ludzki odruch, którego nikt by się nie spodziewał. To podróż przez krainę cudów. Jest bardzo polska, z przysłowiowym białym koniem jak u Wajdy w „Lotnej”, gdzie biały welon panny młodej zahacza o trumnę. W „Ułaskawieniu” trumna jest namacalna, ciężka, niczym ciężar narodowych klęsk. Film oddaje cześć bohaterom, ale z ust Babci (genialna Grażyna Błęcka-Kolska) padają słowa: „Oficer powinien kończyć studia, mieć dzieci i kochać matkę, a nie leżeć w trumnie obłożony lodem”. Stanowcze, kobiece zdystansowanie się do „męskiej sprawy” ojców i synów stanowi jedno z najważniejszych przesłań filmu. „Ciężar gatunkowy” filmu byłby nie do zniesienia, gdyby nie mocna kontra w drugiej części „Ułaskawienia”. Tragikomiczne, wręcz groteskowo ukazane odreagowanie traumy przez Babcie dodaje filmowi wigoru, dystansu i humoru. Widz może chwilę odetchnąć od

mocnej symboliki powiązanej z wzniosłą i strauumatyzowaną polskością.

To Grażyna Błęcka-Kolska dostała nagrodę na Festiwalu Filmowym w Gdyni za rolę Babci Hani. Ale trzeba przyznać, że odtwórca roli Dziadka w niczym jej nie ustępuje. Jan Jankowski zagrał w debiutanckim „Pogrzebie kartofla” Kolskiego. Teraz, wyciągnięty przez reżysera z „krainy szmiry” (jak Jan Jakub Kolski określił pracę w serialach), odkrywa przed widzem swoją wyjątkową wrażliwość. Zlewa się z postacią, tworząc obraz doświadczonego przez życie, oszczędnego w słowach człowieka o niezłomnych zasadach, który dźwiga swój los z niezwykłą godnością.

Opowieść o Hannie i Jakubie powoli zmierza ku końcowi i zostaje spięta piękną klamrą – okazuje się, że przedstawiona historia jest o wiele bardziej poetycka i metaforyczna, niż można by wnioskować z „odautorskiego” wprowadzenia do filmu. Niemniej ma mocny posmak autentyczności i prawdziwą „iskrę”, która świadczy, że reżyser mówi o czymś dla niego istotnym. Film jest hołdem złożonym Hannie i Jakubowi, próbą oddania im czci, ale też w duchu hellingerowskiego przekroczenia tego, czego poprzednie pokolenia przekroczyć nie mogły. A dalej może być jak w piosence Agnieszki Osieckiej – dzieci urodzą się nowe nam i będą śmiać się że my... Albo nie będą się śmiać, tylko napiszą opowieść, z której powstanie naprawdę dobry film.

Paulina Ilska